**Wiedźmin**

Andrzej Sapkowski

I

Pózniej mówiono, ze czlowiek ten nadszedl od pólnocy od bramy Powrozniczej. Szedl pieszo, a objuczonego konia prowadzil za uzde. Bylo pózne popoludnie i kramy powrozników i rymarzy byly juz zamkniete, a uliczka pusta. Bylo cieplo, a czlowiek ten mial na sobie czarny plaszcz narzucony na ramiona. Zwracal uwage.

Zatrzymal sie przed gospoda „Stary Narakort”, postal chwile, posluchal gwaru glosów. Gospoda, jak zwykle o tej porze, byla pelna ludzi.

Nieznajomy nie wszedl do „Starego Narakortu”. Pociagnal konia dalej, w dól uliczki. Tam byla druga karczma, mniejsza, nazywala sie „Pod Lisem”. Tu bylo pusto. Karczma nie miala najlepszej slawy.

Karczmarz uniósl glowe znad beczki kiszonych ogórków i zmierzyl goscia wzrokiem. Obcy, ciagle w plaszczu, stal przed szynkwasem sztywno, nieruchomo, milczal.

— Co podac?

— Piwa — rzekl nieznajomy. Glos mial nieprzyjemny.

Karczmarz wytarl rece o plócienny fartuch i napelnil gliniany kufel. Kufel byl wyszczerbiony.

Nieznajomy nie byl stary, ale wlosy mial prawie zupelnie biale. Pod plaszczem nosil wytarty skórzany kubrak, sznurowany pod szyja i na ramionach. Kiedy sciagnal swój plaszcz, wszyscy zauwazyli, ze na pasie za plecami mial miecz. Nie bylo w tym nic dziwnego, w Wyzimie prawie wszyscy chodzili z bronia, ale nikt nie nosil miecza na plecach niby luku czy kolczana.

Nieznajomy nie usiadl za stolem, pomiedzy nielicznymi goscmi, stal dalej przy szynkwasie, godzac w karczmarza przenikliwymi oczami. Pociagnal z kufla.

— Izby na nocleg szukam.

— Nie ma — burknal karczmarz, patrzac na buty goscia, zakurzone i brudne. — W „Starym Narakorcie” pytajcie.

— Tu bym wolal.

— Nie ma — karczmarz rozpoznal wreszcie akcent nieznajomego. To byl Riv.

— Zaplace — rzekl obcy cicho, jak gdyby niepewnie.

Wtedy wlasnie zaczela sie ta cala paskudna historia. Ospowaty dragal, który od chwili wejscia obcego nie spuszczal z niego ponurego wzroku, wstal i podszedl do szynkwasu. Dwójka jego towarzyszy stanela z tylu, nie dalej niz dwa kroki.

— Nie ma miejsca, hultaju, rivski wlóczego — charknal ospowaty, stajac tuz obok nieznajomego. — Nie trzeba nam takich jak ty tu, w Wyzimie. To porzadne miasto!

Nieznajomy wzial swój kufel i odsunal sie. Spojrzal na karczmarza, ale ten unikal jego wzroku. Ani mu bylo w glowie bronic Riva. W koncu, kto lubil Rivów?

— Kazdy Riv to zlodziej — ciagnal ospowaty, zionac piwem, czosnkiem i zloscia. — Slyszysz, co mówie, pokrzywniku?

— Nie slyszy. Lajno ma w uszach — rzekl jeden z tych z tylu, a drugi zarechotal.

— Plac i wynos sie! — wrzasnal dziobaty.

Nieznajomy dopiero teraz spojrzal na niego.

— Piwo skoncze.

— Pomozemy ci — syknal dragal. Wytracil Rivowi kufel z reki i jednoczesnie chwytajac go za ramie, wpil palce w rzemien przecinajacy skosem piers obcego. Jeden z tych z tylu wzniósl piesc do uderzenia. Obcy zwinal sie w miejscu, wytracajac ospowatego z równowagi. Miecz zasyczal w pochwie i blysnal krótko w swietle kaganków. Zakotlowalo sie. Krzyk. Ktos z pozostalych gosci runal ku wyjsciu. Z trzaskiem upadlo krzeslo, glucho mlasnely o podloge gliniane naczynia. Karczmarz — usta mu dygotaly — patrzyl na okropnie rozrabana twarz ospowatego, który wczepiwszy palce w brzeg szynkwasu, osuwal sie, niknal z oczu, jak gdyby tonal. Tamci dwaj lezeli na podlodze. Jeden nieruchomo, drugi wil sie i drgal w rosnacej szybko ciemnej kaluzy. W powietrzu wibrowal, swidrujac uszy, cienki, histeryczny krzyk kobiety. Karczmarz zatrzasl sie, zaczerpnal tchu i zaczal wymiotowac.

Nieznajomy cofnal sie pod sciane. Skurczony, spiety, czujny. Miecz trzymal oburacz, wodzac koncem ostrza w powietrzu. Nikt sie nie ruszal. Zgroza, jak zimne bloto, oblepila twarze, skrepowala czlonki, zatkala gardla.

Straznicy wpadli do karczmy z hukiem i szczekiem, we trzech. Musieli byc w poblizu. Okrecone rzemieniami palki mieli w pogotowiu, ale na widok trupów natychmiast dobyli mieczy. Riv przylgnal plecami do sciany, lewa reka wyciagnal sztylet z cholewy.

— Rzuc to! — wrzasnal jeden ze strazników rozdygotanym glosem. — Rzuc to, zbóju! Pójdziesz z nami!

Drugi straznik kopnal stól, nie pozwalajacy mu obejsc Riva z boku.

— Lec po ludzi, Treska! — krzyknal do trzeciego, trzymajacego sie blizej drzwi.

— Nie trzeba — rzekl nieznajomy, opuszczajac miecz. — Sam pójde.

— Pójdziesz, psie nasienie, ale na powrozie! — rozdarl sie ten rozdygotany. — Rzuc miecz, bo ci leb rozwale!

Riv wyprostowal sie. Szybko chwycil klinge pod lewa pache, a prawa, uniesiona do góry, w strone strazników, nakreslil w powietrzu skomplikowany, szybki znak. Blysnely cwieki, którymi gesto nabijane byly dlugie az do lokci mankiety skórzanego kaftana.

Straznicy momentalnie cofneli sie, zaslaniajac twarze przedramionami. Którys z gosci zerwal sie, inny znowu pomknal ku drzwiom. Kobieta znów zakrzyczala, dziko, przerazliwie.

— Sam pójde — powtórzyl nieznajomy dzwiecznym, metalicznym glosem. — A wy trzej przodem. Prowadzcie do grododzierzcy. Drogi nie znam.

— Tak, panie — wymamrotal straznik, opuszczajac glowe. Ruszyl ku wyjsciu, ogladajac sie niepewnie. Dwaj pozostali wyszli za nim, tylem, pospiesznie. Nieznajomy poszedl w slad, chowajac miecz do pochwy, a sztylet do cholewy. Gdy wymijali stoly, goscie zakrywali twarze polami kubraków.

II

Velerad, grododzierzca Wyzimy, podrapal sie w podbródek, zastanowil sie. Nie byl ani zabobonny, ani bojazliwy, ale nie usmiechalo mu sie pozostanie z bialowlosym sam na sam. Wreszcie zdecydowal sie.

— Wyjdzcie — rozkazal straznikom. — A ty siadaj. Nie, nie tu. Tam dalej, jesli wola.

Nieznajomy usiadl. Nie mial juz ani miecza, ani czarnego plaszcza.

— Slucham — rzekl Velerad, bawiac sie ciezkim buzdyganem lezacym na stole. — Jestem Velerad, grododzierzca Wyzimy. Co mi masz do powiedzenia, mosci rozbójniku, zanim pójdziesz do lochu? Trzech zabitych, próba rzucenia uroku, niezle, calkiem niezle. Za takie rzeczy u nas w Wyzimie wbija sie na pal. Ale ze mnie sprawiedliwy czlek, wyslucham cie przedtem. Mów.

Riv rozpial kubrak, wydobyl spod niego zwitek bialej kozlej skóry.

— Na rozstajach, po karczmach przybijacie — powiedzial cicho. — Prawda to, co napisane?

— A — mruknal Velerad, patrzac na wytrawione na skórze runy. — To taka sprawa. Ze tez od razu sie nie domyslilem. Ano, prawda, najprawdziwsza. Podpisane jest: Foltest, król, pan Temerii, Pontaru i Mahakamu. Znaczy, prawda. Ale oredzie oredziem, a prawo prawem. Ja tu, w Wyzimie, prawa pilnuje i porzadku! Ludzi mordowac nie pozwole! Zrozumiales?

Riv kiwnal glowa na znak, ze zrozumial. Velerad sapnal gniewnie.

— Znak wiedzminski masz?

Nieznajomy znów siegnal w rozciecie kaftana, wygrzebal okragly medalion na srebrnym lancuszku. Na medalionie wyobrazony byl leb wilka z wyszczerzonymi klami.

— Imie jakies masz? Moze byc byle jakie, nie pytam z ciekawosci, tylko dla ulatwienia rozmowy.

— Nazywam sie Geralt.

— Moze byc i Geralt. Z Rivii, jak wnosze z wymowy?

— Z Rivii.

— Tak. Wiesz co, Geralt? Z tym — Velerad klepnal w oredzie otwarta dlonia — z tym daj sobie spokój. To powazna sprawa. Wielu juz próbowalo. To, bracie, nie to samo, co paru obwiesiów pochlastac.

— Wiem. To mój fach, grododzierzco. Napisane jest: trzy tysiace orenów nagrody.

— Trzy tysiace — Velerad wydal wargi. — I królewna za zone, jak ludzie gadaja, chociaz tego milosciwy Foltest nie dopisal.

— Nie jestem zainteresowany królewna — rzekl spokojnie Geralt. Siedzial nieruchomo z rekami na kolanach. — Napisane jest: trzy tysiace.

— Co za czasy — westchnal grododzierzca. — Co za parszywe czasy! Jeszcze dwadziescia lat temu, kto by pomyslal, nawet po pijanemu, ze takie profesje beda? Wiedzmini! Wedrowni zabójcy bazyliszków! Domokrazni pogromcy smoków i utopców! Geralt? W twoim cechu piwo wolno pic?

— Pewnie.

Velerad klasnal w dlonie.

— Piwa! — zawolal. — A ty, Geralt, siadaj blizej. Co mi tam.

Piwo bylo zimne i pieniste.

— Parszywe czasy nastaly — monologowal Velerad pociagajac z kufla. — Namnozylo sie wszelkiego plugastwa. W Mahakamie, w górach, az roi sie od bobolaków. Po lasach dawniej aby wilki wyly, a teraz akurat: upiory, borowiki jakies, gdzie nie spluniesz, wilkolak albo inna zaraza. Po wsiach rusalki i placzki porywaja dzieci, to juz idzie w setki. Choroby, o jakich nikt dawniej nie slyszal, wlos sie jezy. No i jeszcze to do kompletu! — popchnal zwitek skóry po blacie stolu. — Nie dziwota, Geralt, ze taki popyt na wasze uslugi.

— To królewskie oredzie, grododzierzco — Geralt uniósl glowe. — Znacie szczególy?

Velerad odchylil sie na krzesle, splótl dlonie na brzuchu.

— Szczególy, mówisz? A znam. Nie to, zeby z pierwszej reki, ale z dobrych zródel.

— O to mi wlasnie chodzi.

— Uparles sie. Jak chcesz. Sluchaj — Velerad popil piwa, sciszyl glos. — Nasz milosciwy Foltest jeszcze jako królewicz, za rzadów starego Medella, swojego ojca, pokazywal nam, co potrafi, a potrafil wiele. Liczylismy, ze mu to z wiekiem przejdzie. A tymczasem krótko po swojej koronacji, zaraz po smierci starego króla, Foltest przeszedl samego siebie. Az nam wszystkim szczeki poopadaly. Krótko mówiac: zrobil dziecko swojej rodzonej siostrze Addzie. Adda byla mlodsza od niego, zawsze trzymali sie razem, ale nikt niczego nie podejrzewal, no, moze królowa... Krótko: patrzymy, a tu Adda o, z takim brzuchem, a Foltest zaczyna gadac o slubie. Z siostra, uwazasz, Geralt? Sytuacja zrobila sie napieta jak diabli, bo akurat Vizimir z Novigradu umyslil wydac za Foltesta swoja Dalke, wyslal poselstwo, a tu trzeba trzymac króla za rece i nogi, bo chce biec i lzyc poslów. Udalo sie, i dobrze, bo obrazony Vizimir wyprulby z nas bebechy. Potem, nie bez pomocy Addy, która wplynela na braciszka, udalo sie wyperswadowac szczeniakowi szybki slub. No, a potem Adda urodzila, w przepisowym czasie, a jakze. A teraz sluchaj, bo zaczyna sie. Tego, co sie urodzilo, wiele osób nie widzialo, ale jedna polozna wyskoczyla oknem z wiezy i zabila sie, a druga dostala pomieszania zmyslów i do dzisiaj jest kolowata. Sadze zatem, ze nadbekart nie byl specjalnie urodziwy. To byla dziewczynka. Zmarla zreszta zaraz, nikt, jak mi sie zdaje, nie spieszyl sie zanadto z podwiazywaniem pepowiny. Adda, na swoje szczescie, nie przezyla porodu. A potem, bracie, Foltest po raz kolejny zrobil z siebie durnia. Nadbekarta trzeba bylo spalic albo, bo ja wiem, zakopac gdzies na pustkowiu, a nie chowac go w sarkofagu w podziemiach palacu.

— Za pózno teraz na roztrzasanie — Geralt uniósl glowe. — W kazdym razie nalezalo wezwac kogos z Wiedzacych.

— Mówisz o tych wydrwigroszach z gwiazdkami na kapeluszach? A jakze, zlecialo sie ich z dziesieciu, ale juz potem, kiedy okazalo sie, co lezy w tym sarkofagu. I co z niego nocami wylazi. A zaczelo wylazic nie od razu, o nie. Siedem lat od pogrzebu byl spokój. Az tu którejs nocy, byla pelnia ksiezyca, wrzask w palacu, krzyk, zamieszanie! Co tu duzo gadac, znasz sie na tym, oredzie tez czytales. Niemowlak podrósl w trumnie, i to niezle, a i zeby wyrosly mu jak sie patrzy. Jednym slowem, strzyga. Szkoda, ze nie widziales trupów. Tak jak ja. Pewnie ominalbys Wyzime szerokim lukiem.

Geralt milczal.

— Wtedy — ciagnal Velerad — jak mówilem, Foltest skrzyknal do nas cala gromade czarowników. Jazgotali jeden przez drugiego, o malo nie pobili sie tymi swoimi dragami, co to je nosza, pewnie zeby psy odpedzac, jak ich kto poszczuje. A mysle, ze szczuja ich regularnie. Przepraszam, Geralt, jesli masz inne zdanie o czarodziejach, w twoim zawodzie pewnie je masz, ale dla mnie to darmozjady i durnie. Wy, wiedzmini, budzicie wsród ludzi wieksze zaufanie. Jestescie przynajmniej, jakby tu rzec, konkretni.

Geralt usmiechnal sie, nie skomentowal.

— No, ale do rzeczy — grododzierzca zajrzal do kufla, dolal piwa sobie i Rivowi. — Niektóre rady czarowników wydawaly sie calkiem nieglupie. Jeden proponowal spalenie strzygi razem z palacem i sarkofagiem, inny radzil odrabac jej leb szpadlem, pozostali byli zwolennikami wbijania osinowych kolków w rózne czesci ciala, oczywiscie za dnia, kiedy diablica spala w trumnie, zmordowana po nocnych uciechach. Niestety, znalazl sie jeden, blazen w spiczastej czapce na lysym czerepie, garbaty eremita, który wymyslil, ze to sa czary, ze to sie da odczynic i ze ze strzygi znowu bedzie Foltestowa córeczka, sliczna jak malowanie. Trzeba tylko przesiedziec w krypcie cala noc, i juz, po krzyku. Po czym, wyobrazasz sobie, Geralt, co to byl za pólglówek, poszedl na noc do dworzyszcza. Jak latwo zgadnac, wiele z niego nie zostalo, bodajze tylko czapka i laga. Ale Foltest uczepil sie tego pomyslu jak rzep psiego ogona. Zakazal wszelkich prób zabicia strzygi, a ze wszystkich mozliwych zakamarków kraju posciagal do Wyzimy szarlatanów, aby odczarowac strzyge na królewne. To byla dopiero malownicza kompania! Jakies pokrecone baby, jacys kulawcy, brudni, bracie, zawszeni, litosc brala. No i dawaj czarowac, glównie nad miska i kuflem. Pewnie, niektórych Foltest albo rada zdemaskowali predko, paru nawet powiesili na ostrokole, ale za malo, za malo. Ja bym ich wszystkich powiesil. Tego, ze strzyga w tym czasie zagryzala co rusz kogos innego, nie zwracajac na oszustów i ich zaklecia zadnej uwagi, dodawac chyba nie musze. Ani tego, ze Foltest nie mieszkal juz w palacu. Nikt juz tam nie mieszkal.

Velerad przerwal, popil piwa. Wiedzmin milczal.

— I tak to sie ciagnie, Geralt, szesc lat, bo to sie urodzilo tak jakos czternascie lat temu. Mielismy w tym czasie troche innych zmartwien, bo pobilismy sie z Vizimirem z Novigradu, ale z porzadnych, zrozumialych powodów, poszlo nam o przesuwanie slupów granicznych, a nie tam o jakies córki czy koligacje. Foltest, nawiasem mówiac, zaczyna juz przebakiwac o malzenstwie i oglada przesylane przez sasiednie dwory konterfekty, które dawniej zwykl byl wrzucac do wychodka. No, ale co jakis czas opada go znowu ta mania i rozsyla konnych, by szukali nowych czarowników. No i nagrode obiecal, trzy tysiace, przez co zbieglo sie troche postrzelenców, blednych rycerzy, nawet jeden pastuszek, kretyn znany w calej okolicy, niech spoczywa w pokoju. A strzyga ma sie dobrze. Tyle ze co jakis czas kogos zagryzie. Mozna sie przyzwyczaic. A z tych bohaterów, co ja próbuja odczarowywac, jest chociaz taki pozytek, ze bestia nazera sie na miejscu i nie szwenda poza dworzyszczem. A Foltest ma nowy palac, calkiem ladny.

— Przez szesc lat — Geralt uniósl glowe — przez szesc lat nikt nie zalatwil sprawy?

— Ano nie — Velerad popatrzyl na wiedzmina przenikliwie. — Bo pewnie sprawa jest nie do zalatwienia i przyjdzie sie z tym pogodzic. Mówie o Foltescie, naszym milosciwym i ukochanym wladcy, który ciagle jeszcze przybija te oredzia na rozstajnych drogach. Tyle ze chetnych zrobilo sie jakby mniej. Ostatnio, co prawda, byl jeden, ale chcial te trzy tysiace koniecznie z góry. No to wsadzilismy go do worka i wrzucilismy do jeziora.

— Oszustów nie brakuje.

— Nie, nie brakuje. Jest ich nawet sporo — przytaknal grododzierzca, nie spuszczajac z wiedzmina wzroku. — Dlatego jak pójdziesz do palacu, nie zadaj zlota z góry. Jezeli tam w ogóle pójdziesz.

— Pójde.

— Ano, twoja sprawa. Pamietaj jednak o mojej radzie. Jezeli zas juz o nagrodzie mowa, ostatnio zaczelo sie mówic o jej drugiej czesci, wspomnialem ci. Królewna za zone. Nie wiem, kto to wymyslil, ale jezeli strzyga wyglada tak, jak opowiadaja, to zart jest wyjatkowo ponury. Wszelakoz nie zabraklo durniów, którzy pognali do dworzyszcza galopem, jak tylko wiesc gruchnela, ze jest okazja wejsc do królewskiej rodziny. Konkretnie, dwóch czeladników szewskich. Dlaczego szewcy sa tacy glupi, Geralt?

— Nie wiem. A wiedzmini, grododzierzco? Próbowali?

— Bylo kilku, a jakze. Najczesciej, kiedy uslyszeli, ze strzyge trzeba odczarowac, a nie zabic, wzruszali ramionami i odjezdzali. Dlatego tez znacznie wzrósl mój szacunek dla wiedzminów, Geralt. No a potem przyjechal jeden, mlodszy byl od ciebie, imienia nie pamietam, o ile je w ogóle podal. Ten spróbowal.

— No i?

— Zebata królewna rozwlóczyla jego flaki na sporej odleglosci. Z pól strzelenia z luku.

Geralt pokiwal glowa.

— To wszyscy?

— Byl jeszcze jeden.

Velerad milczal przez chwile. Wiedzmin nie ponaglal go.

— Tak — rzekl wreszcie grododzierzca. — Byl jeszcze jeden. Z poczatku, gdy mu Foltest zagrozil szubienica, jezeli zabije lub okaleczy strzyge, rozesmial sie tylko i zaczal sie pakowac. No, ale potem...

Velerad ponownie sciszyl glos prawie do szeptu, nachylajac sie przez stól.

— Potem podjal sie zadania. Widzisz, Geralt, jest tu w Wyzimie paru rozumnych ludzi, nawet na wysokich stanowiskach, którym cala ta sprawa obrzydla. Plotka glosi, ze ci ludzie przekonali po cichu wiedzmina, aby nie bawiac sie w zadne ceregiele ani czary, zatlukl strzyge, a królowi powiedzial, ze czar nie podzialal, ze córeczka spadla ze schodów, no ze zdarzyl sie wypadek przy pracy. Król, wiadomo, rozzlosci sie, ale skonczy sie na tym, ze nie zaplaci ani orena nagrody. Szelma wiedzmin na to, ze za darmo sami sobie mozemy chodzic na strzygi. No, co bylo robic... Zlozylismy sie, potargowali... Tylko ze nic z tego nie wyszlo.

Geralt podniósl brwi.

— Nic, powiadam — rzekl Velerad. — Wiedzmin nie chcial isc od razu, pierwszej nocy. Lazil, czail sie, krecil po okolicy. Wreszcie, jak powiadaja, zobaczyl strzyge, zapewne w akcji, bo bestia nie wylazi z krypty tylko po to, zeby rozprostowac nogi. Zobaczyl ja wiec i tej samej nocy zwial. Bez pozegnania.

Geralt wykrzywil lekko wargi w czyms, co prawdopodobnie mialo byc usmiechem.

— Rozumni ludzie — zaczal — zapewne maja jeszcze te pieniadze? Wiedzmini nie biora z góry.

— Ano — rzekl Velerad — pewnie maja.

— Plotka nie mówi, ile tego jest?

Velerad wyszczerzyl zeby.

— Jedni mówia: osiemset...

Geralt pokrecil glowa.

— Inni — mruknal grododzierzca — mówia o tysiacu.

— Nieduzo, jesli wziac pod uwage, ze plotka wszystko wyolbrzymia. W koncu król daje trzy tysiace.

— Nie zapominaj o narzeczonej — zadrwil Velerad. — O czym my rozmawiamy? Wiadomo, ze nie dostaniesz tamtych trzech tysiecy.

— Skad to niby wiadomo?

Velerad huknal dlonia o blat stolu.

— Geralt, nie psuj mojego wyobrazenia o wiedzminach! To juz trwa szesc lat z hakiem! Strzyga wykancza do pól setki ludzi rocznie, teraz mniej, bo wszyscy trzymaja sie z daleka od palacu. Nie, bracie, ja wierze w czary, niejedno widzialem i wierze, do pewnego stopnia, rzecz jasna, w zdolnosci magów i wiedzminów. Ale z tym odczarowywaniem to bzdura, wymyslona przez garbatego i usmarkanego dziada, który zglupial od pustelniczego wiktu, bzdura, w która nie wierzy nikt. Prócz Foltesta. Nie, Geralt! Adda urodzila strzyge, bo spala z wlasnym bratem, taka jest prawda i zaden czar tu nie pomoze. Strzyga zre ludzi, jak to strzyga, i trzeba ja zabic, normalnie i po prostu. Sluchaj, dwa lata temu kmiotkowie z jakiegos zapadlego zadupia pod Mahakamem, którym smok wyzeral owce, poszli kupa, zatlukli go klonicami i nawet nie uznali za celowe sie tym szczególnie chwalic. A my tu, w Wyzimie, czekamy na cud i ryglujemy drzwi przy kazdej pelni ksiezyca albo wiazemy przestepców do palika przed dworzyszczem liczac, ze bestia nazre sie i wróci do trumny.

— Niezly sposób — usmiechnal sie wiedzmin. — Przestepczosc zmalala?

— Ani troche.

— Do palacu, tego nowego, któredy?

— Zaprowadze cie osobiscie. Co bedzie z propozycja rzucona przez rozumnych ludzi?

— Grododzierzco — rzekl Geralt. — Po co sie spieszyc? Przeciez naprawde moze zdarzyc sie wypadek przy pracy, niezaleznie od moich intencji. Wtedy rozumni ludzie winni pomyslec, jak ocalic mnie przed gniewem króla i przygotowac te tysiac piecset orenów, o których mówi plotka.

— Mialo byc tysiac.

— Nie, panie Velerad — powiedzial wiedzmin stanowczo.

— Ten, któremu dawaliscie tysiac, uciekl na sam widok strzygi, nawet sie nie targowal. To znaczy, ryzyko jest wieksze niz tysiac. Czy nie jest wieksze niz póltora tysiaca, okaze sie. Oczywiscie, ja sie przedtem pozegnam.

Velerad podrapal sie w glowe.

— Geralt? Tysiac dwiescie?

— Nie, grododzierzco. To nie jest latwa robota. Król daje trzy, a musze wam powiedziec, ze odczarowac jest czasem latwiej niz zabic. W koncu którys z moich poprzedników zabilby strzyge, gdyby to bylo takie proste. Myslicie, ze dali sie zagryzc tylko dlatego, ze bali sie króla?

— Dobra, bracie — Velerad smetnie pokiwal glowa. — Umowa stoi. Tylko przed królem ani mru-mru o mozliwosci wypadku przy pracy. Szczerze ci radze.

III

Foltest byl szczuply, mial ladna — za ladna — twarz. Nie mial jeszcze czterdziestki, jak ocenil wiedzmin. Siedzial na karle rzezbionym z czarnego drewna, nogi wyciagnal w strone paleniska, przy którym grzaly sie dwa psy. Obok, na skrzyni siedzial starszy, poteznie zbudowany mezczyzna z broda. Za królem stal drugi, bogato odziany, z dumnym wyrazem twarzy. Wielmoza.

— Wiedzmin z Rivii — powiedzial król po chwili ciszy, jaka zapadla po wstepnej przemowie Velerada.

— Tak, panie — Geralt schylil glowe.

— Od czego ci tak leb posiwial? Od czarów? Widze, zes niestary. Dobrze juz, dobrze. To zart, nic nie mów. Doswiadczenie, jak smiem przypuszczac, masz niejakie?

— Tak, panie.

— Radbym posluchac.

Geralt sklonil sie jeszcze nizej.

— Wiecie wszak, panie, ze nasz kodeks zabrania mówienia o tym, co robimy.

— Wygodny kodeks, mosci wiedzminie, wielce wygodny. Ale tak, bez szczególów, z borowikami miales do czynienia?

— Tak.

— Z wampirami, z leszymi?

— Tez.

Foltest zawahal sie.

— Ze strzygami?

Geralt uniósl glowe, spojrzal królowi w oczy.

— Tez.

Foltest odwrócil wzrok.

— Velerad!

— Slucham, milosciwy panie.

— Wprowadziles go w szczególy?

— Tak, milosciwy panie. Twierdzi, ze królewne mozna odczarowac.

— To wiem od dawna. W jaki sposób, mosci wiedzminie? Ach, prawda, zapomnialem. Kodeks. Dobrze. Tylko jedna mala uwaga. Bylo tu juz u mnie kilku wiedzminów. Velerad, mówiles mu? Dobrze. Stad wiem, ze wasza specjalnoscia jest raczej zabijanie, a nie odczynianie uroków. To nie wchodzi w rachube. Jezeli mojej córce spadnie wlos z glowy, ty swoja polozysz na pienku. To tyle. Ostrit, a i wy, panie Segelin, zostancie, udzielcie mu tyle informacji, ile bedzie chcial. Oni zawsze duzo pytaja, wiedzmini. Nakarmcie go i niech mieszka w palacu. Niech sie nie wlóczy po karczmach.

Król wstal, gwizdnal na psy i ruszyl ku drzwiom, rozrzucajac slome pokrywajaca podloge komnaty. Przy drzwiach odwrócil sie.

— Uda ci sie, wiedzminie, nagroda jest twoja. Moze jeszcze cos dorzuce, jesli dobrze sie spiszesz. Oczywiscie, bajania pospólstwa co do ozenku z królewna nie zawieraja slowa prawdy. Nie sadzisz chyba, ze wydam córke za byle przyblede?

— Nie, panie. Nie sadze.

— Dobrze. To dowodzi, ze jestes rozumny.

Foltest wyszedl, zamykajac za soba drzwi. Velerad i wielmoza, którzy dotychczas stali, natychmiast rozsiedli sie przy stole. Grododzierzca dopil w polowie pelny puchar króla, zajrzal do dzbana, zaklal. Ostrit, który zajal fotel Foltesta, patrzyl na wiedzmina spode lba, gladzac dlonmi rzezbione porecze. Segelin, brodacz, skinal na Geralta.

— Siadajcie, mosci wiedzminie, siadajcie. Zaraz wieczerze podadza. O czym chcielibyscie rozmawiac? Grododzierzca Velerad powiedzial wam juz chyba wszystko. Znam go i wiem, ze powiedzial predzej za duzo niz za malo.

— Tylko kilka pytan.

— Zadajcie je.

— Mówil grododzierzca, ze po pojawieniu sie strzygi król wezwal wielu Wiedzacych.

— Tak bylo. Ale nie mówcie: „strzyga”, mówcie: „królewna”. Latwiej unikniecie takiej pomylki przy królu... i zwiazanych z tym przykrosci.

— Czy wsród Wiedzacych byl ktos znany? Slawny?

— Byli tacy i wówczas, i pózniej. Nie pamietam imion... A wy, panie Ostrit?

— Nie pamietam — rzekl wielmoza. — Ale wiem, ze niektórzy cieszyli sie slawa i uznaniem. Mówilo sie o tym duzo.

— Czy byli zgodni co do tego, ze zaklecie mozna zdjac?

— Byli dalecy od zgody — usmiechnal sie Segelin. — W kazdym przedmiocie. Ale takie stwierdzenie padlo. Mialo to byc proste, wrecz nie wymagajace zdolnosci magicznych, i jak zrozumialem, wystarczylo, aby ktos spedzil noc, od zachodu slonca do trzecich kurów, w podziemiu, przy sarkofagu.

— Rzeczywiscie, proste — parsknal Velerad.

— Chcialbym uslyszec opis... królewny.

Velerad zerwal sie z krzesla.

— Królewna wyglada jak strzyga! — wrzasnal.

— Jak najbardziej strzygowata strzyga, o jakiej slyszalem! Jej wysokosc królewska córka, przeklety nadbekart, ma cztery lokcie wzrostu, przypomina baryle piwa, ma morde od ucha do ucha, pelna zebów jak sztylety, czerwone slepia i rude kudly! Lapska, opazurzone jak u zbika, wisza jej do samej ziemi! Dziwie sie, ze jeszcze nie zaczelismy rozsylac jej miniatur po zaprzyjaznionych dworach! Królewna, niech ja zaraza udusi, ma juz czternascie lat, czas pomyslec o wydaniu jej za jakiegos królewicza!

— Pohamuj sie, grododzierzco — zmarszczyl sie Ostrit, zerkajac w strone drzwi. Segelin usmiechnal sie lekko.

— Opis, choc tak obrazowy, byl w miare dokladny, a o to chodzilo mosci wiedzminowi, prawda? Velerad zapomnial dodac, ze królewna porusza sie z niewiarygodna predkoscia i jest o wiele silniejsza, niz mozna wnosic z jej wzrostu i budowy. A to, ze ma czternascie lat, jest fak-tem. O ile to wazne.

— Wazne — powiedzial wiedzmin. — Czy ataki na ludzi zdarzaja sie tylko podczas pelni?

— Tak — odrzekl Segelin. — Jezeli napada poza starym palacem. W palacu, niezaleznie od fazy ksiezyca, ludzie gineli zawsze. Ale wychodzi tylko podczas pelni, a i to nie kazdej.

— Czy byl chociaz jeden wypadek ataku za dnia?

— Nie. Za dnia nie.

— Zawsze pozera ofiary?

Velerad splunal zamaszyscie na slome.

— Niech cie, Geralt, zaraz wieczerza bedzie. Tfu! Pozera, nadgryza, zostawia, róznie, zaleznie od humoru zapewne. Jednemu tylko glowe odgryzla, paru wybebeszyla, a paru ogryzla na czysto, do gola, mozna by rzec. Taka jej mac!

— Uwazaj, Velerad — syknal Ostrit. — O strzydze gadaj, co chcesz, ale Addy nie obrazaj przy mnie, bo przy królu sie nie odwazasz!

— Czy byl ktos, kogo zaatakowala, a przezyl? — spytal wiedzmin, pozornie nie zwracajac uwagi na wybuch wielmozy.

Segelin i Ostrit spojrzeli po sobie.

— Tak — powiedzial brodacz. — Na samym poczatku, szesc lat temu, rzucila sie na dwóch zolnierzy stojacych na warcie u krypty. Jednemu udalo sie uciec.

— I pózniej — wtracil Velerad — mlynarz, na którego napadla pod miastem. Pamietacie?

IV

Mlynarza przyprowadzono na drugi dzien, póznym wieczorem, do komnatki nad kordegarda, w której zakwaterowano wiedzmina. Przyprowadzil go zolnierz w plaszczu z kapturem.

Rozmowa nie dala wiekszych rezultatów. Mlynarz byl przerazony, belkotal, jakal sie. Wiecej powiedzialy wiedzminowi jego blizny: strzyga miala imponujacy rozstaw szczek i rzeczywiscie ostre zeby, w tym bardzo dlugie górne kly — cztery, po dwa z kazdej strony. Pazury zapewne ostrzejsze od zbiczych, choc mniej zakrzywione. Tylko dlatego zreszta udalo sie mlynarzowi wyrwac.

Zakonczywszy ogledziny, Geralt skinal na mlynarza i zolnierza, odprawiajac ich. Zolnierz wypchnal chlopa za drzwi i zdjal kaptur. Byl to Foltest we wlasnej osobie.

— Siadaj, nie wstawaj — rzekl król. — Wizyta nieoficjalna. Zadowolony z wywiadu? Slyszalem, ze byles w dworzyszczu przed poludniem.

— Tak, panie.

— Kiedy przystapisz do dziela?

— Do pelni cztery dni. Po pelni.

— Wolisz sam sie jej wczesniej przyjrzec?

— Nie ma takiej potrzeby. Ale najedzona... królewna... bedzie mniej ruchliwa.

— Strzyga, mistrzu, strzyga. Nie bawmy sie w dyplomacje. Królewna to ona dopiero bedzie. O tym zreszta przyszedlem z toba porozmawiac. Odpowiadaj, nieoficjalnie, krótko i jasno: bedzie czy nie bedzie? Nie zaslaniaj mi sie tylko zadnym kodeksem.

Geralt potarl czolo.

— Potwierdzam, królu, ze czar mozna odczynic. I jezeli sie nie myle, to rzeczywiscie spedzajac noc w dworzyszczu. Trzecie pianie koguta, o ile zaskoczy strzyge poza sarkofagiem, zlikwiduje urok. Tak zwykle postepuje sie ze strzygami.

— Takie proste?

— To nie jest proste. Trzeba te noc przezyc, to raz. Mozliwe sa tez odstepstwa od normy. Na przyklad nie jedna noc, ale trzy. Kolejne. Sa tez przypadki... no... beznadziejne.

— Tak — zachnal sie Foltest. — Ciagle to slysze od niektórych. Zabic potwora, bo to przypadek nieuleczalny. Mistrzu, jestem pewien, ze juz z toba rozmawiano. Co? Zeby zarabac ludojadke bez ceregieli, na samym wstepie, a królowi powiedziec, ze inaczej sie nie dalo. Król nie zaplaci, my zaplacimy. Bardzo wygodny sposób. I tani. Bo król kaze sciac lub powiesic wiedzmina, a zloto zostanie w kieszeni.

— Król bezwarunkowo kaze sciac wiedzmina? — wykrzywil sie Geralt.

Foltest przez dluzsza chwile patrzyl w oczy Riva.

— Król nie wie — powiedzial wreszcie. — Ale liczyc sie z taka ewentualnoscia wiedzmin raczej powinien.

Teraz Geralt chwile pomilczal.

— Zamierzam zrobic, co w mojej mocy — rzekl po chwili. — Ale gdyby poszlo zle, bede bronil swojego zycia. Wy, panie, tez sie musicie liczyc z taka ewentualnoscia.

Foltest wstal.

— Nie rozumiesz mnie. Nie o to chodzi. To jasne, ze zabijesz ja, gdy sie zrobi goraco, czy mi sie to podoba, czy nie. Bo inaczej ona ciebie zabije, na pewno i nieodwolalnie. Nie rozglaszam tego, ale nie ukaralbym nikogo, kto zabilby ja w obronie wlasnej. Ale nie dopuszcze, aby zabito ja, nie próbujac uratowac. Byly juz próby podpalenia starego palacu, strzelali do niej z luków, kopali doly, zastawiali sidla i wnyki dopóty, dopóki kilku nie powiesilem. Ale nie o to chodzi. Mistrzu, sluchaj!

— Slucham.

— Po tych trzech kurach nie bedzie strzygi, jesli dobrze zrozumialem. A co bedzie?

— Jezeli wszystko pójdzie dobrze, czternastolatka.

— Czerwonooka? Z zebami jak krokodyl?

— Normalna czternastolatka. Tyle ze...

— No?

— Fizycznie.

— Masz babo placek. A psychicznie? Codziennie na sniadanie wiadro krwi? Udko dziewczecia?

— Nie. Psychicznie... Nie sposób powiedziec... Sadze, ze na poziomie, bo ja wiem, trzyletniego, czteroletniego dziecka. Bedzie wymagala troskliwej opieki przez dluzszy czas.

— To jasne. Mistrzu?

— Slucham.

— Czy to jej moze wrócic? Pózniej?

Wiedzmin milczal.

— Aha — rzekl król. — Moze. I co wtedy?

— Gdyby po dlugim, kilkudniowym omdleniu zmarla, trzeba spalic cialo. I to predko.

Foltest zasepil sie.

— Nie sadze jednak — dodal Geralt — aby do tego doszlo. Dla pewnosci udziele wam, panie, kilku wskazówek, jak zmniejszyc niebezpieczenstwo.

— Juz teraz? Nie za wczesnie, mistrzu? A jezeli...

— Juz teraz — przerwal Riv. — Róznie bywa, królu. Moze sie zdarzyc, ze rano znajdziecie w krypcie odczarowana królewne i mojego trupa.

— Az tak? Pomimo mojego zezwolenia na obrone wlasna? Na którym, zdaje mi sie, nie bardzo ci nawet zalezalo?

— To jest powazna sprawa, królu. Ryzyko jest wielkie. Dlatego sluchajcie: królewna stale musi nosic na szyi szafir, najlepiej inkluz, na srebrnym lancuszku. Stale. W dzien i w nocy.

— Co to jest inkluz?

— Szafir z pecherzykiem powietrza wewnatrz kamienia. Oprócz tego, w komnacie, w której bedzie sypiala, nalezy co jakis czas palic w kominku galazki jalowca, zarnowca i leszczyny.

Foltest zamyslil sie.

— Dziekuje ci za rady, mistrzu. Zastosuje sie do nich, jezeli... A teraz ty posluchaj mnie uwaznie. Jezeli stwierdzisz, ze to przypadek beznadziejny, zabijesz ja. Jezeli odczynisz urok, a dziewczyna nie bedzie... normalna... jezeli bedziesz mial cien watpliwosci, czy ci sie udalo w pelni, zabijesz ja równiez. Nie obawiaj sie, nic ci nie grozi z mojej strony. Bede na ciebie krzyczal przy ludziach, wypedze z palacu i z miasta, nic wiecej. Nagrody oczywiscie nie dam. Moze cos wytargujesz, wiesz od kogo.

Milczeli chwile.

— Geralt — Foltest po raz pierwszy zwrócil sie do wiedzmina po imieniu.

— Slucham.

— Ile jest prawdy w gadaniu, ze dziecko bylo takie, a nie inne, bo Adda byla moja siostra?

— Niewiele. Czar trzeba rzucic, zadne zaklecie nie rzuca sie samo. Ale mysle, ze wasz zwiazek z siostra byl przyczyna rzucenia czaru, a wiec i takiego skutku.

— Tak myslalem. Tak mówili niektórzy z Wiedzacych, chociaz nie wszyscy. Geralt? Skad sie biora takie sprawy? Czary, magia?

— Nie wiem, królu. Wiedzacy zajmuja sie badaniem przyczyn tych zjawisk. Dla nas, wiedzminów, wystarcza wiedza, ze skupiona wola moze takie zjawiska powodowac. I wiedza, jak je zwalczac.

— Zabijac?

— Najczesciej. Za to nam zreszta najczesciej placa. Malo kto zada odczyniania uroków, królu. Z reguly ludzie chca sie po prostu uchronic od zagrozenia. Jezeli zas potwór ma ludzi na sumieniu, dochodzi jeszcze motyw zemsty.

Król wstal, zrobil kilka kroków po komnacie, zatrzymal sie przed mieczem wiedzmina wiszacym na scianie.

— Tym? — spytal, nie patrzac na Geralta.

— Nie. Ten jest na ludzi.

— Slyszalem. Wiesz co, Geralt? Pójde z toba do krypty.

— Wykluczone.

Foltest odwrócil sie, oczy mu zablysly.

— Czy ty wiesz, czarowniku, ze ja jej nie widzialem? Ani po urodzeniu, ani... potem. Balem sie. Moge jej juz nigdy nie zobaczyc, prawda? Mam prawo chociaz widziec, jak ja bedziesz mordowal.

— Powtarzam, wykluczone. To pewna smierc. Równiez dla mnie. Jezeli oslabie uwage, wole... Nie, królu.

Foltest odwrócil sie, ruszyl ku drzwiom. Geraltowi przez chwile zdawalo sie, ze wyjdzie bez slowa, bez pozegnalnego gestu, ale król zatrzymal sie, spojrzal na niego.

— Budzisz zaufanie — powiedzial. — Pomimo ze wiem, jakie z ciebie ziólko. Opowiadano mi, co zaszlo w karczmie. Jestem pewien, ze zabiles tych opryszków wylacznie dla rozglosu, zeby wstrzasnac ludzmi, mna. Jest dla mnie oczywiste, ze mogles ich pokonac bez zabijania. Boje sie, ze nigdy sie nie dowiem, czy idziesz ratowac moja córke, czy tez ja zabic. Ale godze sie na to. Musze sie zgodzic. Wiesz, dlaczego?

Geralt nie odpowiedzial.

— Bo mysle — rzekl król — mysle, ze ona cierpi. Prawda?

Wiedzmin utkwil w królu swoje przenikliwe oczy. Nie przytaknal, nie skinal glowa, nie uczynil najmniejszego gestu, ale Foltest wiedzial. Znal odpowiedz.

V

Geralt po raz ostatni wyjrzal przez okno dworzyszcza. Zmierzch zapadal szybko. Za jeziorem migotaly niejasne swiatelka Wyzimy. Dookola dworzyszcza bylo pustkowie — pas ziemi niczyjej, którym miasto w ciagu szesciu lat odgrodzilo sie od niebezpiecznego miejsca, nie zostawiajac nic oprócz kilku ruin, przegnilych belkowan i resztek szczerbatego ostrokolu, których widac nie oplacalo sie rozbierac i przenosic. Najdalej, bo na zupelnie przeciwlegly kraniec osiedla, przeniósl swoja rezydencje sam król — pekaty stolb jego nowego palacu czernil sie w dali na tle granatowiejacego nieba.

Wiedzmin wrócil do zakurzonego stolu, przy którym w jednej z pustych, spladrowanych komnat przygotowywal sie niespiesznie, spokojnie, pieczolowicie. Czasu, jak wiedzial, mial duzo. Strzyga nie opusci krypty przed pólnoca.

Przed soba na stole mial nieduza, okuta skrzyneczke. Otworzyl ja. Wewnatrz, ciasno, w wylozonych sucha trawa przegródkach, staly flakoniki z ciemnego szkla. Wiedzmin wyjal trzy.

Z podlogi podjal podluzny pakunek, grubo owiniety owczymi skórami i okrecony rzemieniem. Rozwinal go, wydobyl miecz z ozdobna rekojescia, w czarnej, lsniacej pochwie pokrytej rzedami runicznych znaków i symboli. Obnazyl ostrze, które rozblyslo czystym, lustrzanym blaskiem. Klinga byla z czystego srebra.

Geralt wyszeptal formule, wypil po kolei zawartosc dwu flakoników, po kazdym lyku kladac lewa dlon na glowni miecza. Potem, owijajac sie szczelnie w swój czarny plaszcz, usiadl. Na podlodze. W komnacie nie bylo zadnego krzesla. Jak zreszta w calym dworzyszczu.

Siedzial nieruchomo, z zamknietymi oczami. Jego oddech, poczatkowo równy, stal sie nagle przyspieszony, chrapliwy, niespokojny. A potem ustal zupelnie. Mieszanka, za pomoca której wiedzmin poddal pelnej kontroli prace wszystkich organów ciala, skladala sie glównie z ciemiezycy, bieluniu, glogu i wilczomlecza. Inne jej skladniki nie posiadaly nazw w zadnym ludzkim jezyku. Dla czlowieka, który nie byl, tak jak Geralt, przyzwyczajony do niej od dziecka, bylaby to smiertelna trucizna.

Wiedzmin gwaltownie odwrócil glowe. Jego sluch, wyostrzony obecnie ponad wszelka miare, z latwoscia wylowil z ciszy szelest kroków na zarosnietym pokrzywami dziedzincu. To nie mogla byc strzyga. Bylo za jasno. Geralt zarzucil miecz na plecy, ukryl swój tobolek w palenisku zrujnowanego kominka i cicho jak nietoperz zbiegl po schodach.

Na dziedzincu bylo jeszcze na tyle jasno, by nadchodzacy czlowiek mógl zobaczyc twarz wiedzmina. Czlowiek — byl to Ostrit — cofnal sie gwaltownie, mimowolny grymas przerazenia i wstretu wykrzywil mu usta. Wiedzmin usmiechnal sie krzywo — wiedzial, jak wyglada. Po wypiciu mieszanki pokrzyku, tojadu i swietlika twarz nabiera koloru kredy, a zrenice zajmuja cale teczówki. Ale mikstura pozwala widziec w najglebszych ciemnosciach, a o to Geraltowi chodzilo.

Ostrit opanowal sie szybko.

— Wygladasz, jakbys juz byl trupem, czarowniku — powiedzial. — Pewnie ze strachu. Nie bój sie. Przynosze ci ulaskawienie.

Wiedzmin nie odpowiedzial.

— Nie slyszysz, co powiedzialem, rivski znachorze? Jestes uratowany. I bogaty — Ostrit zwazyl w reku spora sakwe i rzucil ja pod nogi Geralta. — Tysiac orenów. Bierz to, wsiadaj na konia i wynos sie stad!

Riv wciaz milczal.

— Nie wytrzeszczaj na mnie oczu! — Ostrit podniósl glos. — I nie marnuj mojego czasu. Nie mam zamiaru stac tutaj do pólnocy. Czy nie rozumiesz? Nie zycze sobie, abys odczynial uroki. Nie, nie mysl, ze odgadles. Nie trzymam z Veleradem i Segelinem. Nie chce, bys ja zabijal. Masz sie po prostu wynosic. Wszystko ma zostac po staremu.

Wiedzmin nie poruszyl sie. Nie chcial, aby wielmoza zorientowal sie, jak przyspieszone sa w tej chwili jego ruchy i reakcje. Ciemnialo szybko, bylo to o tyle korzystne, ze nawet pólmrok zmierzchu byl zbyt jaskrawy dla jego rozszerzonych zrenic.

— A dlaczego to, panie, wszystko ma zostac po staremu? — spytal, starajac sie wolno wypowiadac poszczególne slowa.

— A to — Ostrit dumnie podniósl glowe — powinno cie diabelnie malo obchodzic.

— A jezeli juz wiem?

— Ciekawe.

— Latwiej bedzie usunac Foltesta z tronu, jezeli strzyga dokuczy ludziom jeszcze bardziej? Jezeli królewskie szalenstwo do cna obrzydnie i wielmozom, i pospólstwu, prawda? Jechalem do was przez Redanie, przez Novigrad. Wiele sie tam mówi o tym, ze niektórzy w Wyzimie wygladaja króla Vizimira jako wybawiciela i prawdziwego monarche. Ale mnie, panie Ostrit, nie obchodzi ani polityka, ani sukcesje tronów, ani przewroty palacowe. Ja jestem tu, aby wykonac prace. Nie slyszeliscie nigdy o poczuciu obowiazku i zwyklej uczciwosci? O etyce zawodowej?

— Uwazaj, do kogo mówisz, wlóczego! — krzyknal wsciekle Ostrit, kladac dlon na rekojesci miecza. — Dosc juz mam tego, nie przywyklem dyskutowac z byle kim! Patrzcie go, etyka, kodeksy, moralnosc?! Kto to mówi? Zbój, który ledwo przybyl, pomordowal ludzi? Który gial sie przed Foltestem w uklonach, a za jego plecami targowal sie z Veleradem jak najemny zbir? I ty osmielasz sie zadzierac glowe, pacholku? Udawac Wiedzacego? Maga? Czarodzieja? Ty parszywy wiedzminie! Precz stad, zanim plazem przez pysk przejade!

Wiedzmin nawet nie drgnal, stal spokojnie.

— To wy stad idzcie, panie Ostrit — powiedzial. — Sciemnia sie.

Ostrit cofnal sie o krok, blyskawicznie dobyl miecza.

— Sam tego chciales, czarowniku. Zabije cie. Nic ci nie pomoga twoje sztuczki. Mam przy sobie zólwi kamien.

Geralt usmiechnal sie. Opinia o mocy zólwiego kamienia byla równie powszechna, jak bledna. Ale wiedzmin nie myslal tracic sil na zaklecia, ani tym bardziej narazac srebrnej klingi na zetkniecie sie z brzeszczotem Ostrita. Znurkowal pod mlynkujacym ostrzem i nasada piesci, srebrnymi cwiekami mankietu uderzyl wielmoze w skron.

VI

Ostrit oprzytomnial rychlo, wodzil wkolo oczami w zupelnej ciemnosci. Spostrzegl, ze jest zwiazany. Geralta, który stal tuz obok, nie widzial. Ale zorientowal sie, gdzie jest, i zawyl, przeciagle, przerazliwie.

— Milcz — rzekl wiedzmin. — Bo przyciagniesz ja przed czasem.

— Ty przeklety morderco! Gdzie jestes? Rozwiaz mnie natychmiast, lajdaku! Bedziesz za to wisial, suczy synu!

— Milcz.

Ostrit dyszal ciezko.

— Zostawisz mnie jej na pozarcie! Zwiazanego? — spytal juz ciszej, dorzucajac plugawe wyzwisko prawie szeptem.

— Nie — rzekl wiedzmin. — Wypuszcze cie. Ale nie teraz.

— Ty lotrze — zasyczal Ostrit. — Zeby odciagnac strzyge?

— Tak.

Ostrit zamilkl, przestal sie miotac, lezal spokojnie.

— Wiedzminie?

— Tak.

— To prawda, ze chcialem obalic Foltesta. Nie ja jeden. Ale ja jeden pragnalem jego smierci, chcialem, by umarl w mekach, by oszalal, by zywcem zgnil. Wiesz, dlaczego?

Geralt milczal.

— Kochalem Adde. Królewska siostre. Królewska kochanke. Królewska dziewke. Kochalem ja... Wiedzminie, jestes tu?

— Jestem.

— Wiem, co myslisz. Ale tak nie bylo. Uwierz mi, nie rzucalem zadnych uroków. Nie znam sie na zadnych czarach. Tylko raz w zlosci powiedzialem... Tylko raz. Wiedzminie? Sluchasz?

— Slucham.

— To jego matka, stara królowa. To na pewno ona. Nie mogla patrzec, ze on i Adda... To nie ja. Ja tylko raz, wiesz, próbowalem perswadowac, a Adda... Wiedzminie! Zamroczylo mnie i powiedzialem... Wiedzminie? To ja? Ja?

— To juz nie ma znaczenia.

— Wiedzminie? Pólnoc blisko?

— Blisko.

— Wypusc mnie wczesniej. Daj mi wiecej czasu.

— Nie.

Ostrit nie uslyszal zgrzytu odsuwanej plyty grobowca, ale wiedzmin tak. Pochylil sie i rozcial sztyletem wiezy wielmozy. Ostrit nie czekal na zadne slowa, zerwal sie, niezgrabnie pokustykal zdretwialy, pobiegl. Jego wzrok na tyle juz przyzwyczail sie do ciemnosci, ze widzial droge prowadzaca z glównej sali do wyjscia.

Z hukiem wyskoczyla z podlogi plyta blokujaca wejscie do krypty. Geralt, przezornie ukryty za balustrada schodów, dostrzegl pokraczna postac strzygi, pedzaca zwinnie, szybko i nieomylnie w slad za oddalajacym sie tupotem butów Ostrita. Strzyga nie wydala z siebie najmniejszego dzwieku.

Potworny, rozedrgany, opetanczy wrzask rozdarl noc, wstrzasnal starymi murami i trwal, wznoszac sie i opadajac, wibrujac. Wiedzmin nie mógl dokladnie ocenic odleglosci — jego wyczulony sluch mylil — ale wiedzial, ze strzyga dopadla Ostrita szybko. Za szybko.

Wyszedl na srodek sali, stanal tuz przy wejsciu do krypty. Odrzucil plaszcz. Poruszyl barkami, poprawiajac ulozenie miecza. Naciagnal rekawice. Mial jeszcze chwile czasu. Wiedzial, ze strzyga, choc najedzona po ostatniej pelni, nie porzuci predko trupa Ostrita. Serce i watroba byly dla niej cennym zapasem pozywienia na dlugie trwanie w letargu.

Wiedzmin czekal. Do jutrzenki, jak obliczal, pozostawalo jeszcze okolo trzech godzin. Pianie koguta mogloby go tylko zmylic. W okolicy nie bylo zreszta prawdopodobnie zadnych kogutów.

Uslyszal. Szla powoli, czlapiac po posadzce. A potem zobaczyl ja.

Opis byl dokladny. Nieproporcjonalnie duza glowa osadzona na krótkiej szyi okolona byla splatana, wijaca sie aureola czerwonawych wlosów. Oczy swiecily w mroku jak dwa karbunkuly. Strzyga stala nieruchomo, wpatrzona w Geralta. Nagle otworzyla paszcze — jak gdyby chwalac sie rzedami bialych, spiczastych zebisk, po czym klapnela zuchwa z trzaskiem przypominajacym zamykanie skrzyni. I od razu skoczyla, z miejsca, bez rozbiegu, godzac w wiedzmina okrwawionymi pazurami.

Geralt odskoczyl w bok, zawirowal w blyskawicznym piruecie, strzyga otarla sie o niego, tez zawirowala, tnac powietrze szponami. Nie stracila równowagi, zaatakowala ponownie, natychmiast, z pólobrotu, klapiac zebami tuz przed piersia Geralta. Riv odskoczyl w druga strone, trzykrotnie zmienil kierunek obrotu w furkoczacym piruecie, zdezorientowal strzyge. Odskakujac, mocno, choc bez zamachu, uderzyl ja w bok glowy srebrnymi kolcami osadzonymi na wierzchniej stronie rekawicy, na knykciach.

Strzyga zaryczala potwornie, wypelniajac dworzyszcze dudniacym echem, przypadla do ziemi, zamarla i poczela wyc, glucho, zlowrogo, wsciekle.

Wiedzmin usmiechnal sie zlosliwie. Pierwsza próba, tak jak liczyl, wypadla pomyslnie. Srebro bylo zabójcze dla strzygi, jak dla wiekszosci potworów powolanych do zycia przez czary. Istniala wiec szansa: bestia byla jak inne, a to moglo gwarantowac pomyslne odczarowanie, zas srebrny miecz, ostatecznosc, mógl gwarantowac mu zycie.

Strzyga nie spieszyla sie z nastepnym atakiem. Tym razem zblizala sie wolno, szczerzac kly, sliniac sie obrzydliwie. Geralt cofnal sie, szedl pólkolem, ostroznie stawiajac kroki, zwalniajac i przyspieszajac ruchy dekoncentrowal strzyge, utrudnil jej spiecie sie do skoku. Idac wiedzmin rozwijal dlugi, cienki, mocny lancuch, obciazony na koncu. Lancuch byl ze srebra.

W momencie gdy strzyga sprezyla sie i skoczyla, lancuch swisnal w powietrzu i zwijajac sie jak waz, w okamgnieniu oplótl ramiona, szyje i glowe potwora. Strzyga zwalila sie w skoku, wydajac przeszywajacy uszy wizg. Miotala sie po posadzce, ryczac okropnie, nie wiadomo bylo, z wscieklosci czy z palacego bólu, jaki zadawal jej nienawistny metal. Geralt byl zadowolony — zabicie strzygi, gdyby tego chcial, nie przedstawialo w tej chwili wielkiego problemu. Ale wiedzmin nie dobywal miecza. Jak do tej pory nic w zachowaniu strzygi nie dawalo powodów przypuszczac, ze móglby to byc przypadek nieuleczalny. Geralt cofnal sie na odpowiednia odleglosc i nie spuszczajac wzroku z kotlujacego sie na posadzce ksztaltu, oddychal gleboko, koncentrowal sie.

Lancuch pekl, srebrne ogniwa, jak deszcz, sypnely sie na wszystkie strony, dzwoniac po kamieniu. Zaslepiona wsciekloscia strzyga runela do ataku wyjac. Geralt czekal spokojnie, uniesiona prawa dlonia kreslil przed soba Znak Aard.

Strzyga poleciala w tyl kilka kroków jak uderzona mlotem, ale utrzymala sie na nogach, wyciagnela szpony, obnazyla kly. Jej wlosy uniosly sie i zalopotaly, jak gdyby szla pod gwaltowny wiatr. Z trudem, charczac, krok po kroku, powoli szla. Jednak szla.

Geralt zaniepokoil sie. Nie oczekiwal, ze tak prosty Znak zupelnie sparalizuje strzyge, ale i nie spodziewal sie, ze bestia pokona opór tak latwo. Nie mógl trzymac Znaku zbyt dlugo, bylo to zbyt wyczerpujace, a strzyga miala juz do przebycia nie wiecej niz dziesiec kroków. Raptownie zdjal Znak i odskoczyl w bok. Tak jak oczekiwal, zaskoczona strzyga poleciala naprzód, stracila równowage, przewrócila sie, posliznela po posadzce i stoczyla w dól po schodach, w ziejacy w podlodze otwór wejscia do krypty. Z dolu rozleglo sie jej potepiencze wycie.

Aby zyskac na czasie, Geralt skoczyl na schody prowadzace na galeryjke. Nie przebyl nawet polowy stopni, gdy strzyga wypadla z krypty, pedzac jak ogromny czarny pajak. Wiedzmin odczekal, az wbiegnie za nim na schody, po czym przesadzil balustrade, zeskoczyl w dól. Strzyga zakrecila sie na schodach, odbila i poleciala na niego w nieprawdopodobnym, ponad dziesieciometrowym skoku. Nie dala sie juz tak latwo zwiesc jego piruetom — dwukrotnie jej szpony naznaczyly skórzany kaftan Riva. Ale ponowny, rozpaczliwie mocny cios srebrnych kolców rekawicy odrzucil strzyge, zachwial nia. Geralt, czujac wzbierajaca w sobie wscieklosc, zakolysal sie, wygial tulów do tylu i poteznym kopniakiem w bok zwalil bestie z nóg.

Ryk, jaki wydala, byl glosniejszy od wszystkich poprzednich. Az tynk posypal sie z sufitu.

Strzyga zerwala sie, dygocac z nieopanowanej zlosci i zadzy mordu. Geralt czekal. Juz dobyl miecza, opisywal nim w powietrzu kola, szedl, okrazal strzyge, baczac, by ruchy miecza byly niezgodne z rytmem i tempem jego kroków. Strzyga nie skoczyla, zblizala sie powoli, wodzac oczami za jasna smuga klingi.

Geralt raptownie zatrzymal sie, zamarl z uniesionym mieczem. Strzyga, zdetonowana, stanela równiez. Wiedzmin opisal ostrzem powolne pólkole, zrobil krok w strone strzygi. Potem jeszcze jeden. A potem skoczyl, wywijajac mlynca nad glowa.

Strzyga skulila sie, zrejterowala zygzakiem, Geralt byl znowu blisko, klinga migotala mu w dloni. Oczy wiedzmina rozpalily sie zlowrogim blaskiem, zza zacisnietych zebów rwal sie chrapliwy ryk. Strzyga znów cofnela sie pchnieta do tylu moca skoncentrowanej nienawisci, zlosci i przemocy emanujacych z atakujacego ja czlowieka, bijacych w nia falami, wdzierajacych sie do mózgu i trzewi. Przerazona az do bólu nie znanym jej dotychczas uczuciem wydala z siebie roztrzesiony, cienki kwik, zakrecila sie w miejscu i rzucila do oblakanczej ucieczki w mroczna platanine korytarzy dworzyszcza.

Geralt, wstrzasany dreszczem, stal posrodku sali. Sam. Dlugo to trwalo, pomyslal, zanim ten taniec na skraju przepasci, ten szalenczy, makabryczny balet walki doprowadzil do oczekiwanego rezultatu, pozwolil mu na osiagniecie psychicznej jednosci z przeciwnikiem, na dobranie sie do pokladów skupionej woli, która przepelniala strzyge. Zlej, chorobliwej woli, z mocy której strzyga powstala. Wiedzmin zadygotal na wspomnienie momentu, w którym wchlonal w siebie ten ladunek zla, by skierowac go, jak zwierciadlem, na potwora. Nigdy jeszcze nie spotkal sie z taka koncentracja nienawisci i morderczego szalu, nawet u bazyliszków cieszacych sie pod tym wzgledem najgorsza slawa.

Tym lepiej, myslal, idac w strone wejscia do krypty czerniejacego w podlodze jak ogromna kaluza. Tym lepiej, tym mocniejsze uderzenie odebrala sama strzyga. To mu da troche wiecej czasu na dalsze dzialanie, zanim bestia otrzasnie sie z szoku. Wiedzmin watpil, czy zdobylby sie na jeszcze jeden podobny wysilek. Dzialanie eliksirów slablo, a swit byl jeszcze daleko. Strzyga nie moze dostac sie do krypty przed jutrzenka, inaczej caly dotychczasowy trud zda sie na nic.

Zszedl po schodach. Krypta byla nieduza, miescila trzy kamienne sarkofagi. Pierwszy od wejscia mial na wpól odsunieta pokrywe. Geralt wydobyl zza pazuchy trzeci flakonik, wypil szybko jego zawartosc, wszedl do grobowca, zanurzyl sie w nim. Tak jak oczekiwal, grobowiec byl podwójny — dla matki i córki.

Zasunal pokrywe dopiero wtedy, gdy z góry uslyszal znów ryk strzygi. Polozyl sie na wznak obok zmumifikowanych zwlok Addy, na plycie od wewnatrz nakreslil Znak Yrden. Na piersiach polozyl miecz i postawil malenka klepsydre wypelniona fosforyzujacym piaskiem. Skrzyzowal rece. Nie slyszal juz wrzasków strzygi przetrzasajacej dworzyszcze. Przestawal slyszec cokolwiek, bo czworolist i jaskólcze ziele zaczynaly dzialac.

VII

Kiedy Geralt otworzyl oczy, piasek w klepsydrze przesypal sie juz do konca, co oznaczalo, ze jego letarg byl nawet dluzszy, niz nalezalo. Nadstawil uszu — nie uslyszal nic. Jego zmysly dzialaly juz normalnie.

Ujal miecz w dlon, przesunal reka po pokrywie sarkofagu mruczac formule, po czym lekko, na kilka cali, odsunal plyte.

Cisza.

Odsunal wieko bardziej, usiadl, trzymajac bron w pogotowiu wystawil glowe ponad grobowiec. W krypcie bylo ciemno, ale wiedzmin wiedzial, ze na zewnatrz swita. Skrzesal ognia, zapalil miniaturowy kaganek, uniósl go, slac na sciany krypty dziwaczne cienie.

Pusto.

Wygramolil sie z sarkofagu, obolaly, zdretwialy, zziebniety. I wtedy dostrzegl ja. Lezala na wznak przy grobowcu, naga, nieprzytomna.

Byla raczej brzydka. Szczuplutka, z malymi szpiczastymi piersiami, brudna. Wlosy — ploworude — siegaly jej prawie do pasa. Stawiajac kaganek na plycie uklakl przy niej, pochylil sie. Usta miala blade, na kosci policzkowej duzy krwiak od jego uderzenia. Geralt zdjal rekawice, odlozyl miecz, bezceremonialnie zadarl jej palcem górna warge. Zeby miala normalne. Siegnal po jej reke zagrzebana w splatanych wlosach. Zanim namacal dlon, zobaczyl otwarte oczy. Za pózno.

Chlasnela go szponami po szyi, tnac gleboko, krew bryznela jej na twarz. Zawyla, godzac w oczy druga reka. Zwalil sie na nia, lapiac za przeguby obu rak, przygwazdzajac do posadzki. Klapnela zebami — juz za krótkimi — przed jego twarza. Uderzyl ja czolem w twarz, mocniej przydusil. Nie miala juz dawnej sily, wila sie tylko pod nim, wyla, wypluwajac krew — jego krew — zalewajaca jej usta. Krew uchodzila szybko. Nie bylo czasu. Wiedzmin zaklal i ugryzl ja mocno w szyje tuz pod uchem, wbil zeby i zaciskal je, dopóki nieludzkie wycie nie zmienilo sie w cienki, rozpaczliwy krzyk, a potem dlawiacy sie szloch — placz krzywdzonej czternastoletniej dziewczynki.

Puscil ja, gdy przestala sie poruszac, uniósl sie na kolana, wyrwal z kieszeni na rekawie kawal plótna, przycisnal go do szyi. Namacal lezacy obok miecz, przylozyl nieprzytomnej dziewczynie ostrze do gardla, pochylil sie nad jej dlonia. Paznokcie byly brudne, polamane, zakrwawione, ale... normalne. Najzupelniej normalne.

Wiedzmin wstal z trudem. Przez wejscie do krypty wlewala sie juz lepko-mokra szarosc poranka. Ruszyl ku schodom, ale zachwial sie, usiadl ciezko na posadzce. Przez przesiakniete plótno krew lala mu sie po rece, sciekala do rekawa. Rozpial kaftan, rozdarl koszule, prul, darl szmaty, wiazal je wokól szyi wiedzac, ze nie ma za duzo czasu, ze zaraz zemdleje...

Zdazyl. I zemdlal.

W Wyzimie, za jeziorem, kogut, stroszac pióra w chlodnej wilgoci, zapial ochryple po raz trzeci.

VIII

Zobaczyl bielone sciany i belkowany sufit komnatki nad kordegarda. Poruszyl glowa krzywiac sie z bólu, jeknal. Szyje mial obandazowana, grubo, solidnie, fachowo.

— Lez czarowniku — powiedzial Velerad. — Lez, nie ruszaj sie.

— Mój... miecz...

— Tak, tak. Najwazniejszy jest oczywiscie twój srebrny, wiedzminski miecz. Jest tu, nie obawiaj sie. I miecz, i kuferek. I trzy tysiace orenów. Tak, tak, nic nie mów. To ja jestem stary duren, a ty jestes madry wiedzmin. Foltest powtarza to od dwóch dni.

— Dwóch...

— Ano, dwóch. Niezle rozplatala ci szyje, widac bylo wszystko, co tam masz w srodku. Straciles mnóstwo krwi. Szczesciem pognalismy do dworzyszcza zaraz po trzecich kurach. W Wyzimie nikt nie spal tamtej nocy. Nie dalo sie. Okropniescie tam halasowali. Nie meczy cie moje gadanie?

— Kró... lewna?

— Królewna jak królewna. Chuda. I glupawa taka jakas. Placze bez ustanku. I sika w lózko. Ale Foltest mówi, ze to sie jej odmieni. Mysle, ze nie na gorsze, co, Geralt?

Wiedzmin zamknal oczy.

— Dobrze, ide juz — Velerad wstal. — Odpoczywaj. Geralt? Zanim pójde, powiedz, dlaczego chciales ja zagryzc? He? Geralt?

Wiedzmin spal.